



KEN FOLLETT

NA SKRZYDŁACH ORŁÓW



ROZDZIAŁ I

1

Wszystko zaczęło się piątego grudnia 1978 roku.

Jay Coburn, szef kadr irańskiego oddziału korporacji EDS, siedział pogrążony w zadumie w swoim gabinecie w centrum Teheranu.

Biuro mieściło się w trzypiętrowym betonowym gmachu powszechnie zwanym „Bukaresztem” (z powodu usytuowania nieopodal ulicy Bukareszteńskiej). Gabinet Coburna, znajdujący się na pierwszym piętrze, był duży jak na standardy amerykańskie. Na podłodze leżał parkiet, na środku stało duże drewniane biurko, na ścianie wisiał portret szacha. Zwrócony tyłem do okna, Coburn mógł przez oszklone drzwi obserwować główną salę biura, gdzie jego pracownicy siedzieli przy maszynach do pisania i telefonach. Nad szybą w drzwiach została zainstalowana żaluzja, ale on jej nigdy nie zamykał.

Było zimno. Jak zawsze. Tysiące Irańczyków strajkowało, dostawy prądu do miasta były przerywane i niemal codziennie ogrzewanie wyłączano na kilka godzin.

Coburn był wysokim, barczystym mężczyzną, miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i ważył dziewięćdziesiąt kilogramów. Ciemnorudawe włosy nosił krótko ostrzyżone

i starannie uczesane z przedziałkiem. Miał dopiero trzydzieści dwa lata, ale wyglądał na czterdziestkę. Z bliska łatwiej było odgadnąć jego prawdziwy wiek po szerokiej, atrakcyjnej twarzy o łagodnych rysach i serdecznym uśmiechu, ale otaczała go aura przedwczesnej dojrzałości, sprawiał wrażenie człowieka, który dorósł za szybko.

Przez całe życie dźwigał na swych barkach odpowiedzialność: jako chłopak, gdy pracował w kwaciarni ojca, po dwudziestce jako pilot helikoptera w Wietnamie, później jako młody mąż i ojciec, a teraz jako szef kadr troszczący się o bezpieczeństwo stu trzydziestu jeden amerykańskich pracowników i ich dwustu dwudziestu krewnych w mieście, w którym szerzyła się przemoc ulicznych gangów.

Tego dnia, jak co dzień, wydzwaniał po całym Teheranie, chcąc się dowiedzieć, gdzie trwają walki, gdzie mogą wybuchnąć w najbliższym czasie i jakie są prognozy na kilka następnych dni.

Co najmniej raz każdego dnia dzwonił do ambasady amerykańskiej, która udzielała takich informacji przez całą dobę. Amerykanie dzwoniли z różnych części miasta, żeby przekazać, gdzie odbywają się demonstracje i trwają zamieszki, a pracownik ambasady informował wszystkich zainteresowanych, że należy unikać tej czy innej dzielnicy. Coburn przekonał się jednak, że nie ma co oczekiwać od ambasady prognoz na najbliższe dni czy jakichś porad. Na cotygodniowych odprawach, w których regularnie uczestniczył, powtarzano bez końca, że Amerykanie powinni w maksymalnym zakresie przebywać w budynkach i za wszelką cenę unikać tłumów na ulicach, ale szach panuje nad sytuacją i na razie ewakuacja nie jest zalecana. Coburn świetnie rozumiał, że gdyby ambasada amerykańska przyznała, że władza szacha się chwieje, ten na pewno by upadł, lecz zachowywano tak daleko posuniętą ostrożność, że niechętnie udzielano jakichkolwiek informacji. Dlatego

też niezadowolona z takiej postawy społeczność amerykańskich biznesmenów w Teheranie zorganizowała na własną rękę sieć informacyjną. Największą korporacją ze Stanów Zjednoczonych działającą w mieście był Bell Helicopter, którego irańską placówką kierował emerytowany generał dywizji Robert N. Mackinnon. Dysponował doskonałą siatką wywiadowczą i chętnie dzielił się wszelkimi nowinami. Ponadto Coburn znał kilku oficerów amerykańskiego wywiadu wojskowego i do nich także dzwonił.

Tego dnia w mieście panował względny spokój, nie odbywały się większe demonstracje. Ostatnie poważniejsze zamieszki zdarzyły się trzy dni wcześniej, drugiego grudnia, w pierwszy dzień strajku generalnego, kiedy to w walkach ulicznych zginęło podobno siedemset osób. Według informatorów Coburna spokój miał potrwać do dziesiątego grudnia, do muzulmańskiego święta Aszura.

Nadchodząca Aszura bardzo niepokoiła Coburna. Muzulmańskie święto zimowe w niczym nie przypominało Bożego Narodzenia. Był to dzień postu i żałoby po śmierci wnuka Proroka, Husajna, dzień pokuty. Organizowano masowe uliczne procesje, podczas których najbardziej zagorzali wierni biczowali się do krwi. W takiej atmosferze łatwo było o wybuch hysterii i burzliwe zajścia.

Coburn obawiał się, że w tym roku uliczne zamieszki mogą być skierowane przeciwko Amerykanom.

Seria nieprzyjemnych zajęć przekonała go, że antyamerykańskie nastroje szybko przybierają na sile. Ktoś wsunął mu pod drzwi kartkę z napisem: „Jeśli miłe ci życie i twój majątek, wynoś się z Iranu”. Jego przyjaciele otrzymywali podobne anonimy. Na ścianie jego domu pojawił się wymalowany sprayem napis: „Tu mieszkają Amerykanie”. Tłum demonstrantów przewrócił szkolny autobus, którym jego dzieci dojeżdżały do amerykańskiej szkoły w Teheranie. Innych pracowników EDS wyzywano na ulicach, niszczone

ich samochody. Pewnego burzliwego popołudnia Irańczycy z Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, najważniejszego klienta EDS, wpadli we wściekłość, powybijali okna i spalili portrety szacha, a pracownicy EDS zabarykadowali się w biurze, gdzie przeczekali, aż tłum się rozproszy.

Ale pod wieloma względami za najgroźniejsze zjawisko uważał zmianę nastawienia gospodarza, u którego mieszkali.

Jak większość Amerykanów w Teheranie, Coburnowie wynajęli pół dwurodzinnego domku, zamieszkali z dziećmi na piętrze, podczas gdy właściciele zajmowali parter. Kiedy przylecieli tu w marcu tego roku, gospodarze chętnie przyjęli ich pod swe skrzydła. Obie rodziny szybko się zaprzyjaźniły. Coburn często wdawał się z Irańczykiem w dyskusje na temat religii, dostał od niego w prezencie angielski przekład Koranu, a córka gospodarza czytała ojcu ustępy z Biblii Coburnów. W weekendy wspólnie urządzali wycieczki za miasto. Scott, siedmioletni syn Coburnów, grywał na ulicy w piłkę z dziećmi gospodarza. W któryś weekend zyskali rzadki przywilej uczestniczenia w muzułmańskim weselu. Byli zafascynowani. Mężczyźni przez cały dzień pozostawali oddzieleni od kobiet — Jay z synem przebywali wśród mężczyzn, a jego żona Liz razem z ich trzema córkami dołączyła do kobiet — przez co nawet nie miał okazji zobaczenia panny młodej.

Jednak z końcem lata ich stosunki zaczęły się stopniowo zmieniać. Skończyły się wspólne wypadki za miasto. Synowie gospodarza dostali zakaz gry w piłkę ze Scottem. W końcu urwały się wszelkie kontakty między rodzinami, nawet na terenie domu i na podwórku, a dzieci gospodarzy były głośno strofowane, jeśli tylko się odezwały do kogoś z Coburnów.

Ale gospodarz nie zaczął nagle przejawiać nienawiści do Amerykanów. Któregoś wieczoru udowodnił, że wciąż się o nich martwi. Na ulicy doszło do strzelaniny, jeden z jego synów spóźnił się z powrotem do domu przed godziną

policyjną i żołnierze otworzyli do niego ogień, gdy biegł i przeskakiwał przez ogrodzenie. Jay z żoną obserwowali to zająście z tarasu i Liz bardzo się zdenerwowała. Gospodarz przyszedł wtedy do nich, żeby opowiedzieć, co się stało, i zapewnić, że nic im nie grozi. Był jednak przeświadczony, że dla bezpieczeństwa swojej rodziny nie powinien publicznie okazywać zażyłości z Amerykanami: dobrze wiedział, skąd wieje wiatr. Dla Coburna był to kolejny zły znak.

A ostatnio dotarły do niego plotki, jakoby otwarcie mówiło się już w meczetach i na bazarach o świętej wojnie przeciwko Amerykanom, która miała się rozpocząć w Aszurę. Mimo że do święta zostało tylko pięć dni, wśród jego rodaków przebywających w Teheranie panował zadziwiający spokój.

Dobrze pamiętał, jak wprowadzono godzinę policyjną; personelowi EDS nie przeszkodziło to nawet w comiesięcznych rozgrywkach pokerowych. Razem z pozostałymi graczami po prostu przywozili ze sobą rodziny, zmieniając spotkania w przyjęcia piżamowe trwające do rana. Przywykli do huków wystrzałów. Do najpoważniejszych wymian ognia dochodziło w starszej, południowej dzielnicy miasta, w sąsiedztwie bazaru i w okolicy uniwersytetu, ale od czasu do czasu strzały padały także w innych rejonach. Lecz ich odgłosy szybko spowszedniały. Jeśli akurat prowadzono rozmowy, po prostu przerywano je, a następnie kontynuowano po ustaniu wystrzałów, jak zapewne zrobiono by w Stanach w przypadku huków przelatującego w pobliżu odrzutowca — jak gdyby nikt nie umiał sobie nawet wyobrazić, że strzały mogą być wymierzone w niego.

Na Coburnie te wymiany ognia nie robiły większego wrażenia, gdyż w przeszłości wielokrotnie był na nie narażony. W Wietnamie pilotował śmigłowce szturmowe, osłaniał operacje naziemne i transporty ludzi oraz zaopatrzenia, ubezpieczał maszyny lądujące i startujące pod ostrzałem wroga. Zabijał ludzi i widział umierających żołnierzy. W tamtym okresie dowództwo rozdawało

odznaczenia już za każde dwadzieścia pięć godzin lotów bojowych. Wrócił do domu z trzydziestoma dziewięcioma takimi medalami. Ponadto dosłużył się dwóch Zaszczytnych Krzyży Lotniczych, Srebrnej Gwiazdy i rany postrzałowej łydki, najbardziej narażonej na kule części ciała pilota helikoptera. Ten rok służby nauczył go, że całkiem nieźle sobie radzi w akcjach bojowych, kiedy jest bardzo dużo do zrobienia i nie ma czasu na strach, jednak po powrocie z każdej misji, gdy mógł wreszcie w spokoju pomyśleć nad tym, czego właśnie dokonał, zaczynały mu się trząść kolana.

Na swój sposób był wdzięczny losowi za tamte doświadczenia. Musiał szybko dorosnąć, ale dzięki temu zyskał przewagę nad konkurentami w życiu zawodowym. A jednocześnie nauczył się zdrowego respektu dla odgłosów strzelaniny.

Niemniej większość jego kolegów, jak również ich żon, myślała zupełnie inaczej. Ilekroć rozmowy schodziły na temat ewakuacji, budziła ona powszechny sprzeciw. Wszyscy poświęcali swój czas, energię i ambicję irańskiemu oddziałowi korporacji EDS, toteż nikt nie zamierzał się teraz wycofywać. Żony pracowników zdążyły się urządzić w wynajętych mieszkaniach, czuły się jak we własnym domu, układały plany na Gwiazdkę. Dzieci miały swoje szkoły, przyjaciół, rowery, zwierzęta domowe. Wszyscy jak gdyby wmawiali sobie, że jeśli będą się trzymać razem i pozostawać na uboczu, z pewnością ominą ich wszelkie kłopoty.

Coburn próbował namówić Liz, żeby wróciła z dziećmi do Stanów — już nie tylko dla ich bezpieczeństwa, lecz także z obawy, iż może dojść do sytuacji, kiedy będzie musiał ewakuować stąd naraz trzysta pięćdziesiąt osób, chciał więc zapewnić sobie możliwość całkowitego poświęcenia się tej akcji, bez strachu o los własnej rodziny. Jednak Liz nie chciała o tym słyszeć.

Westchnął głośno na wspomnienie żony. Była pełna życia i zadziorna, wszyscy lubili jej towarzystwo, ale nie nadawała

się na żonę biznesmena. Zarząd EDS miał wysokie wymagania wobec kadry kierowniczej. Jeśli jakieś zadanie wymagało poświęcenia całej nocy, trzeba było ją poświęcić. Liz tego nie akceptowała. W Stanach, kiedy jeszcze zajmował się rekrutacją ludzi i często przebywał poza domem od poniedziałku do piątku, jeżdżąc po całym kraju, odnosiła się do tego z niechęcią. W Teheranie była szczęśliwa, bo codziennie wracał po pracy do domu. Oznajmiła więc, że jeśli on zostaje, ona zostaje razem z nim. Dzieciakom także się tu podobało. Po raz pierwszy znalazły się poza Stanami Zjednoczonymi, były zaintrygowane odmiennym językiem i kulturą Iranu. Najstarsza, Kim, jedenastoletnia, odznaczała się zbytnią pewnością siebie, żeby czymkolwiek się przejmować. Ośmioletnia Kristi trochę się denerwowała, ale była najbardziej wrażliwa, wiele rzeczy przyjmowała zbyt emocjonalnie. Natomiast siedmioletni Scott i mająca dopiero cztery latka Kelly byli jeszcze za mali, żeby zdawać sobie sprawę z zagrożenia.

Tak więc zostali, razem ze wszystkimi, żeby zaczekać, aż sytuacja się poprawi — albo pogorszy.

Rozmyślenia Coburna przerwało pukanie i do środka wszedł Majid. Niski, przysadzisty mężczyzna koło pięćdziesiątki odznaczający się bujnymi włosami był kiedyś bogatym człowiekiem, do jego rodu należały duże obszary ziemi, którą w latach sześćdziesiątych stracił wskutek reformy rolnej. Dlatego teraz pracował jako asystent Coburna do spraw administracyjnych, użerał się z irańską biurokracją. Mówił płynnie po angielsku i był nadzwyczaj zaradny. Jay bardzo go lubił. Majid musiał zrezygnować z wcześniejszego stylu życia, żeby pomóc rodzinie Jaya zaraz po jej przyjeździe do Iranu.

— Wchodź. Siadaj — rzekł Coburn. — Czym się tak martwisz?

— Chodzi o Farę.

Jay skinął głową. Fara była córką Majida, pomagała ojcu

w pracy. Jej zadaniem było dbanie o to, by wszyscy amerykańscy pracownicy mieli aktualne wizy i pozwolenia na pracę.

— Jakież kłopoty? — zapytał.

— Policja kazała jej wyjąć dwa amerykańskie paszporty z naszych akt i nikomu o tym nie mówić.

Coburn zmarszczył brwi.

— Wybrali konkretne paszporty?

— Tak, Paula Chiapparone'a i Billa Gaylorda.

Paul był szefem Coburna, kierownikiem irańskiego oddziału korporacji EDS. A Bill, jego zastępca, kierował najważniejszym projektem, kontraktem z Ministerstwem Zdrowia.

— Co się dzieje, do pioruna? — syknął.

— Fara jest w wielkim niebezpieczeństwie — powiedział Majid. — Kazali jej nikomu o tym nie mówić. Ale przyszła do mnie po radę. A ja, oczywiście, musiałem ci o tym powiedzieć. Obawiam się jednak, że grożą jej bardzo poważne kłopoty.

— Zaczekaj chwilę. Zacznijmy od początku — odparł Jay.
— Jak do tego doszło?

— Dziś rano zadzwonili do niej z komendy głównej policji, z sekcji amerykańskiej wydziału wizowego. Kazali jej zgłosić się na komendę. Powiedzieli, że chodzi o Jamesa Nyfelera, sądziła więc, że to zwykła formalność. Zjawiała się tam o wpół do dwunastej i zgłosiła do kierownika sekcji amerykańskiej. Kiedy poprosił ją o paszport pana Nyfelera i jego wizę, odparła, że pan Nyfeler wyjechał z Iranu. Wtedy kierownik zapytał o Paula Buchę, na co odpowiedziała, że pan Bucha także jest już poza granicami kraju.

— Naprawdę?

— Tak.

Bucha był nadal w Iranie, tyle że Fara mogła o tym nie wiedzieć. Miał zezwolenie na stały pobyt, wyjechał za granicę, ale musiał na krótko wrócić. Na jutro miał zarezerwowany

bilet powrotny do Paryża.

Majid ciągnął:

— Kierownik sekcji powiedział wtedy: „Podejrzewam, że tych dwóch pozostałych także już wyjechało?”. Fara zobaczyła, że na jego biurku leżą cztery teczki, i zapytała, o jakich dwóch pracowników chodzi. Wówczas on wymienił nazwiska panów Chiapparone’a i Gaylorda. Odparła, że z samego rana odebrała wizę i pozwolenie na pracę pana Gaylorda. Wtedy kazał jej przynieść na komendę paszporty i zezwolenia obu panów, Gaylorda i Chiapparone’a. Fara ma je dostarczyć jemu i zrobić to dyskretnie, żeby nie wszczynać alarmu.

— Jak na to zareagowała? — zapytał Coburn.

— Odpowiedziała, że nie będzie mogła ich przynieść dzisiaj. Kazał jej więc przyjść z paszportami jutro rano. Zrobił ją za to osobiście odpowiedzialną i zadbał, żeby mieć świadków, kiedy wydawał polecenia.

— Przecież to nie ma żadnego sensu — odrzekł Coburn.

— Jeśli Fara nie wykona tych poleceń...

— Znajdziemy sposób, żeby zapewnić jej ochronę.

— Zastanawiał się, czy na pewno Amerykanie muszą okazywać paszporty na każde żądanie. Sam ostatnio się wylegitymował, gdy doszło do drobnej stłuczki, i dowiedział się później, że wcale nie musiał tego robić. — Nie powiedzieli jej, w jakim celu chcą mieć te paszporty?

— Nie.

Bucha i Nyfeler byli poprzednikami Chiapparone’a i Gaylorda. Czyżby w tym kryło się rozwiązanie zagadki? Coburn nie miał pojęcia.

Wstał i rzekł:

— Przed wszystkim musimy zdecydować, co Fara ma powiedzieć jutro rano na policji. Porozmawiam z Pauliem Chiapparone’em i przyjdę do ciebie.

Paul Chiapparone siedział w swoim gabinecie na parterze. Podłoga w jego pokoju także była wyłożona parkietem, na środku stało duże biurko, a na ścianie wisiał portret szacha. Chiapparone również był poważnie zatroskany.

Ten trzydziestodwuletni mężczyzna był średniego wzrostu i miał lekką nadwagę, ponieważ lubił dobrze zjeść. Oliwkowa cera i gęste czarne włosy upodobały go do Włocha. Realizował projekt stworzenia od podstaw nowoczesnego systemu opieki społecznej w prymitywnym kraju, co nie było łatwe.

Na początku lat siedemdziesiątych Iran miał przestarzały system opieki społecznej, mało wydajny w zakresie ściągania składek i źle zabezpieczony przed oszustami, skutkiem czego jedna osoba mogła otrzymać kilka razy odszkodowanie za tę samą chorobę. Kiedy szach postanowił wydać część swoich zysków ze sprzedaży ropy naftowej, wynoszących dwadzieścia miliardów dolarów rocznie, na stworzenie państwa dobrobytu, EDS dostało kontrakt na opracowanie nowego systemu. Firma zarządzała w kilku stanach USA programem z zakresu opieki i pomocy medycznej, ale w Iranie musiała zaczynać od zera. Trzeba było wydrukować legitymacje ubezpieczeniowe dla trzydziestu dwóch milionów obywateli irańskich, opracować metody potrącania składek z zarobków i rozliczania pracodawców, zorganizować pracę komisji przyznających odszkodowania. Cały system miał pracować poprzez sieć komputerową, co było specjalnością EDS.

Różnica między zainstalowaniem systemu przetwarzania danych w Stanach Zjednoczonych a wykonaniem podobnej pracy w Iranie, jak Paul się przekonał, przypominała różnicę między upieczeniem ciasta z torebki a jego przyrządzeniem w sposób tradycyjny z naturalnych składników. Zadanie było frustrujące. W przeciwieństwie do amerykańskich biznesmenów Irańczycy nie wykazywali się umiejętnościami i często stwarzali dodatkowe problemy, zamiast rozwiązywać

istniejące. W siedzibie EDS w Dallas, w Teksasie, nie tylko oczekiwano od ludzi, że dokonają rzeczy niemożliwych, ale że jeszcze zrobią to na wczoraj. Tutaj, w Iranie, wszystko okazywało się niemożliwe, a w najlepszym razie mogło być gotowe na *fardah* — co, zwykle tłumaczone jako „jutro”, w praktyce oznaczało „kiedyś w przyszłości”.

Paul pokonywał te problemy jedynym znanym sobie sposobem, to znaczy ciężką pracą i determinacją. Nie był geniuszem intelektu. Za młodu z trudem radził sobie w szkole, ale jego ojciec — z pochodzenia Włoch, odznaczający się typową dla emigrantów głęboką wiarą w wykształcenie — zmusił go do pójścia na studia i tam już Paul uzyskiwał dobre wyniki. Od tamtej pory wiele osiągnął tylko dzięki własnemu uporowi. Pamiętał pierwszy okres działalności EDS w Stanach, jeszcze w latach sześćdziesiątych, kiedy każdy nowy kontrakt mógł przesądzić o losach firmy. Miał swój udział w wyniesieniu jej do pozycji jednej z najbardziej dynamicznych i skutecznych korporacji na świecie. Był pewien, że operacja irańska przyniesie podobne efekty, zwłaszcza gdy prowadzony przez Jaya Coburna program rekrutacji i szkolenia doprowadzi do powstania liczniejszej kadry irańskich specjalistów.

Mylił się jednak i teraz zaczynał rozumieć powody swojej pomyłki.

Kiedy przybył razem z rodziną do Iranu w sierpniu 1977 roku, boom petrodolarowy już się skończył. Władzom zaczynało brakować pieniędzy. Wprowadzony jeszcze w tym roku program antyinflacyjny doprowadził do wzrostu bezrobocia, a kiepskie zbiory zmusiły głodujących wieśniaków do szukania pracy w miastach. Dyktatorskie rządy szacha osłabły wskutek nacisków forsującego prawa człowieka amerykańskiego prezydenta Jimmy’ego Cartera. Powstały idealne warunki do niepokoju społecznego.

Paul przez pewien czas w ogóle nie interesował się lokalną polityką. Wiedział o narastającym niezadowoleniu, ale to

samo można było zaobserwować niemal w każdym kraju, a tutaj szach zdawał się ciągle mocno trzymać w rękach ster władzy. I jak cała reszta świata, on także zlekceważył znaczenie wydarzeń z pierwszej połowy 1978 roku.

Siódmego stycznia gazeta „Ettelaat” opublikowała paszkwil na przebywającego na wygnaniu przywódcę religijnego, ajatollaha Chomeiniego, oskarżając go między innymi o homoseksualizm. Następnego dnia w mieście Kom, odległym o sto trzydzieści kilometrów od Teheranu głównym centrum edukacji religijnej, oburzeni studenci teologii ogłosili strajk okupacyjny, który wojsko i policja krwawo stłumiły. Doszło do eskalacji zamieszek, w których podczas kolejnych dwóch dni zginęło siedemdziesiąt osób. Czterdzieści dni później, zgodnie z islamskim zwyczajem, duchowni zorganizowali procesję żałobną dla uczczenia pamięci ofiar, która także skończyła się krwawymi rozruchami. Po czterdziestu dniach odbyła się kolejna procesja żałobna... Przez całe pierwsze półrocze organizowane jedna po drugiej procesje były coraz liczniejsze i prowadziły do coraz bardziej brutalnych zajęć.

Z perspektywy czasu Paul świetnie rozumiał, że nazywanie tych marszów „procesjami żałobnymi” było tylko sposobem ominięcia wprowadzonego przez szacha zakazu demonstracji politycznych. Ale wtedy nie miał najmniejszego pojęcia, że jest świadkiem narodzin masowego ruchu politycznego. Nikt wówczas tego nie podejrzewał.

W sierpniu 1978 roku Paul pojechał na urlop do Stanów Zjednoczonych. (Podobnie jak William Sullivan, ambasador amerykański w Iranie). Paul był miłośnikiem sportów wodnych, toteż wybrał się ze swoim kuzynem Joem Porreca na turniej wędkarstwa sportowego w Ocean City, w New Jersey. Jego żona Ruthie razem z córkami Karen i Ann Marie pojechała do Chicago odwiedzić swoich rodziców. Wtedy Paul był tylko trochę zaniepokojony, gdyż irańskie Ministerstwo Zdrowia wciąż nie wypłacało pieniędzy za

czerwcowe rachunki EDS, ale w końcu nie po raz pierwszy występowały opóźnienia w zapłatach, poza tym zostawił ten problem swojemu zastępcy Billowi Gaylordowi i był głęboko przekonany, że on ściągnie należności.

W czasie jego pobytu w Ameryce z Iranu ciągle napływały złe wieści. Siódmego września wprowadzono stan wyjątkowy, a już nazajutrz na placu Jaleh w centrum Teheranu żołnierze zabili ponad stu demonstrantów.

Kiedy rodzina Chiapparone'ów wróciła do Iranu, panowała tu już zupełnie inna atmosfera. Po raz pierwszy do Paula i Ruthie dotarły odgłosy nocnej strzelaniny na ulicach. Byli przerażeni, bo nagle zrozumieli, że kłopoty Irańczyków są także ich kłopotami. Jeden za drugim odbywały się strajki. Regularnie odcinano dopływ prądu, tak więc często musieli jeść obiad przy świecach, a Paul nawet w biurze nie zdejmował płaszcza, żeby nie marznąć. Coraz trudniej było wypłacić z banku pieniądze, przez co zmuszony był uruchomić w siedzibie firmy punkt realizacji czeków dla pracowników. Kiedy w domu skończył się zapas oleju opałowego, Paul wyruszył na ulice w poszukiwaniu dostawcy, a gdy go znalazł, zapłacił łapówkę, by ten dostarczył opał pod wskazany adres.

Problemy w pracy były jeszcze poważniejsze. Minister zdrowia i opieki społecznej, doktor Sheikholeslamizadeh, został aresztowany na podstawie artykułu piątego prawa stanu wyjątkowego, który umożliwiał prokuratorowi osadzenie w celi każdego bez podania przyczyn. W więzieniu znalazł się także wiceminister Reza Neghabat, z którym Paul blisko współpracował. Ministerstwo od czerwca nie wypłacało żadnych należności, zatem było już winne EDS ponad cztery miliony dolarów.

Od dwóch miesięcy Paul starał się zdobyć pieniądze. Wszyscy urzędnicy, z którymi dotąd pertraktował, stracili pracę, a ich następcy nie odpowiadali na jego telefony. Tylko czasem ktoś obiecywał, że zbada sprawę i oddzwoni, lecz

gdy po tygodniu oczekiwania Paul dzwonił po raz kolejny, dowiadywał się, że osoba, z którą rozmawiał tydzień wcześniej, odeszła z pracy. Umawiano się na spotkania, ale potem je odwoływano. Tymczasem dług przyrastał w tempie miliona czterystu tysięcy dolarów miesięcznie.

Czternastego listopada Paul wysłał pismo do doktora Heidargholi Emraniego, wiceministra zarządzającego Organizacją Opieki Społecznej, w którym informował oficjalnie, że jeśli ministerstwo nie ureguluje długu, EDS przerwie prace. Czwartego grudnia ultimatum powtórzył szef Paula, prezes korporacji EDS World, podczas spotkania z doktorem Emranim.

To było wczoraj.

Gdyby EDS się wycofał, załamałby się cały irański system ubezpieczeń społecznych. Mimo to stawało się coraz bardziej oczywiste, że kraj stoi na skraju bankructwa i po prostu nie jest w stanie regulować rachunków. Paul zastanawiał się więc, co w tej sytuacji zrobi doktor Emrani.

Wciąż nad tym rozmyślał, gdy wszedł Jay Coburn i podsunął mu odpowiedź.

□ □ □

Jednak nie od razu Paul zrozumiał, że próba kradzieży jego paszportu może mieć na celu zatrzymanie jego, a co za tym idzie EDS w Iranie.

Kiedy Coburn przedstawił mu fakty, zapytał:

— Po co, do diabła, mieliby to robić?

— Nie wiem. Majid tego nie wie, Fara także.

Paul wpatrywał się w niego. W ciągu ostatnich miesięcy ich stosunki wyraźnie się zacieśniły. Wobec innych pracowników Paul starał się robić dobrą minę do złej gry, tylko w rozmowach z Coburnem potrafił być szczery i pytać go wprost, co naprawdę myśli.

— Przede wszystkim powinniśmy zdecydować, co zrobić z Farą. Mogą jej grozić poważne kłopoty — powiedział Jay.

— Musi przedstawić na policji jakieś wyjaśnienie.
— Wykazujące chęć współpracy?
— Niech im powie, że Nyfeler i Bucha już nie są...
— Już to powiedziała.
— Jako dowód może pokazać ich wizy wyjazdowe.
— Owszem — mruknął z powątpiewaniem Coburn. — Ale oni są teraz zainteresowani tobą i Billem.

— Niech im powie, że nie trzymamy swoich paszportów w biurze.

— Mogą wiedzieć, że to nieprawda. Niewykluczone, że Fara wcześniej zawoziła te paszporty na komendę.

— Powiedzmy, że przedstawiciele kierownictwa nie mają obowiązku trzymania paszportów w biurze.

— To mogłoby zadziałać.

— Konieczna jest przekonująca historyjka tłumacząca powody, dla których nie była w stanie wykonać polecenia.

— Dobrze. Przedyskutuję tę kwestię z nią i Majidem.
— Coburn zamyślił się na chwilę. — Pewnie wiesz, że Bucha ma rezerwację na jutrzejszy samolot. Nie powinien mieć kłopotów na lotnisku.

— Też tak sądzę. Myślą, że jest już za granicą.

— Mógłbyś także wyjechać.

Paul zastanowił się, czy rzeczywiście nie powinien tak postąpić. Co wtedy zrobiliby Irańczycy? Pewnie wzięliby na cel kogoś innego.

— Nie — odparł. — Jeśli trzeba się będzie ewakuować, wyjadę stąd ostatni.

— A myślisz, że trzeba będzie? — zapytał Coburn.

— Nie wiem.

Od kilku tygodni codziennie zadawali sobie nawzajem to pytanie. Coburn opracował plan ewakuacji, który mógł zostać wcielony w życie natychmiast. Ale Paul ciągle się wahał, trzymając palec na guziku. Wiedział, że jego szef z centrali w Dallas chciał, aby wyjechali, ale to oznaczałoby porzucenie projektu, nad którym tak ciężko pracowali przez

szesnaście miesięcy.

— Nie wiem — powtórzył. — Zadzwoń do Dallas.

□ □ □

Tej nocy Coburn smacznie spał u boku żony, kiedy zadzwonił telefon.

Po ciemku sięgnął po słuchawkę.

— Tak?

— Tu Paul.

— Cześć. — Zapalił lampkę i spojrzał na zegarek. Była druga w nocy.

— Musimy się ewakuować.

— Rozumiem.

Coburn odłożył słuchawkę na widelki i usiadł na brzegu łóżka. Na swój sposób odczuwał ulgę. Czekają go dwa albo trzy dni gorączkowej bieganiny, ale w końcu powinien zyskać pewność, że wszyscy ludzie, o których bezpieczeństwo od dawna się martwił, są z powrotem w Stanach, z dala od tych zwariowanych Irańczyków.

Przywołał w myślach plany, które przygotował na tę właśnie chwilę. Przede wszystkim musiał zawiadomić sto trzydzieści rodzin, że mają stąd wyjechać w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Zawczasu podzielił miasto na sektory, wyznaczając w każdym dowódcę grupy, wystarczyło więc teraz im przekazać wieści, a oni powinni powiadomić poszczególne rodziny. Przygotował też karty informacyjne z instrukcjami, dokąd mają się udać i co robić. Musiał tylko wstawić w odpowiednie miejsca daty, godziny i numery lotów, następnie powielić te karty i rozdać ludziom.

Spośród operatorów systemu wybrał energicznego i pomysłowego młodego Irańczyka Raszida i wyznaczył mu zadanie zaopiekowania się domami, samochodami i zwierzętami domowymi, które pozostaną po ewakuacji personelu amerykańskiego, oraz ewentualnego odesłania rzeczy statkiem do Stanów Zjednoczonych. Zebrał też

niewielką doraźną grupę, która miała się zająć kupnem biletów lotniczych i przetransportowaniem ludzi na lotnisko.

W końcu zorganizował w małej skali próbną ewakuację kilku osób. Wypadła bardzo dobrze.

Ubrał się i zaparzył kawę. Nie mógł jeszcze podjąć działań przez parę najbliższych godzin, ale był za bardzo podniecony, żeby znowu zasnąć.

O czwartej rano zadzwonił do kilku członków grupy logistycznej, obudził ich i polecił stawić się w jego gabinecie w Bukareszcie zaraz po zakończeniu godziny policyjnej.

Godzina policyjna trwała od dziewiętej wieczorem do piątej rano. Tak więc jeszcze przez godzinę czekał niecierpliwie, paląc papierosy, pijąc mnóstwo kawy i przeglądając notatki.

Kiedy wiszący w holu zegar z kukułką wybił piątą, stał już przy drzwiach, gotów do wyjścia.

Na dworze była gęsta mgła. Wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Bukaresztu w żółwym tempie, jadąc trzydzieści kilometrów na godzinę.

Trzy przecznice dalej z mgły wyłoniło się kilku żołnierzy, którzy ustawili się półkolem przed jego autem i wymierzili broń w przednią szybę.

— O cholera! — zaklął Coburn.

Jeden z żołnierzy nie mógł załadować pistoletu maszynowego. Bezskutecznie próbował odwrotnie wsadzić magazynek, aż w końcu go upuścił. Przyklęknął na jedno kolano i po omacku szukał go na ulicy. Coburn skwitowałby to gromkim śmiechem, gdyby nie był przestraszony.

Dowódca oddziału wykrzyknął do niego coś w języku farsy. Coburn opuścił szybę, pokazał mu swój zegarek i powiedział:

— Już po piątej.

Żołnierze krótko się naradzili. Wreszcie dowódca odwrócił się do auta i zażądał od Amerykanina dokumentów.

Jay czekał niecierpliwie. Byłby to jego najgorszy dzień,

gdyby właśnie teraz go aresztowano. Nie wiedział jednak, czy dowódca patrolu dał wiarę temu, że jego zegarek pokazuje złą godzinę, a Coburna dobrą.

W końcu żołnierze zeszli na pobocze i dowódca pokazał mu, że może jechać dalej.

Głośno odetchnął z ulgą, gdy powoli minął patrol.

W Iranie tak już było.

2

Grupa logistyczna Coburna przystąpiła do działania, zajęła się rezerwowaniem miejsc w samolotach, czarterowaniem autobusów do przewiezienia ludzi na lotnisko i powielaniem kart z instrukcjami. O dziesiątej Jay zebrał w Bukareszcie dowódców grup i kazał im telefonować do ludzi w podległych sektorach.

Udało mu się umieścić większość rodzin w samolocie linii Pan Am odlatującym do Stambułu w piątek, ósmego grudnia. Pozostali — w tym także Liz i czwórka ich dzieci — mieli tego samego dnia odlecieć rejsem Lufthansy do Frankfurtu.

Kiedy tylko uzyskali potwierdzenie wszystkich rezerwacji, dwóch ludzi z kierownictwa EDS, Merv Stauffer oraz T.J. Marquez, wyleciało z Dallas do Stambułu, aby tam przyjąć ewakuowanych, porozmieszczać ich w hotelach i zorganizować następny etap podróży do ojczyzny.

W ciągu dnia nastąpiła drobna zmiana planów. Paul wciąż był niechętny porzuceniu swojej pracy w Iranie. Zaproponował, żeby na miejscu pozostał zespół bazowy złożony z około dziesięciu członków kierownictwa oddziału, który miałby chronić biuro przed grabieżą do czasu, aż sytuacja w Iranie się unormuje i EDS będzie mógł podjąć przerwana pracę. Centrala w Dallas wyraziła zgodę. Na ochotnika zgłosił się sam Paul, jego zastępca, Bill Gaylord, Jay Coburn oraz większość ludzi z jego grupy nadzoru